

Ogród

Pierwszy kwiat pojawił się na wewnętrznej stronie prawego uda.

Dziwny ból obudził ją dość szybko. Początkowo myślała, że to skurcz. Jednak jego nietypowe źródłowe miejsce stopniowo informowało jej mózg o wydaniu niewłaściwego osądu.

Poza tym, nie było żadnej przyczyny, która miałaby doprowadzić do skurczu mięśni. Dzień spędzony w pracy, oparty na trzech kawach przed południem, uczucie do wykonywanych obowiązków balansujące między głębokim rozczarowaniem, czystą nienawiścią a oczekiwaniami niemożliwymi do spełnienia. Potem ucieczka od tych biurowych szaf, w których papiery piętrzyły się, niby planując atak polegający na wczesnym uformowaniu się w góry, mające z czasem powalić księżową, gdy tylko będą wystarczająco wysokie. Dalej długie posiedzenie na kanapie przed telewizorem, z wewnętrzną debatą, jakie to wszystko głupie i nic nie dające, oczywiście z zajadaniem lodów lub słonych przekąsek. Została jeszcze kąpiel i sesja przed lustrem, działająca jednak przeciwnie do profesjonalnych terapii. Dokładny ogląd siebie przy rozbieraniu się, poprzedzającym wejście do wanny i płkanie niewiele słabsze od strumienia wody płynącego z kranu. Na niewidzialnej liście w głowie odhaczyła wszystko — za grube uda, rozstępy na brzuchu, biodrach, nawet na łydkach, nierówne oczy, skrzywiony nos, niezgrabne ramiona, zbyt pulchne poliki i ogólny brak wdzięku. Rutyna. Żadnych silnych ruchów, przerysowanych gestów czy niespodziewanej aktywności fizycznej.

A jednak ból nie pozwolił jej spać spokojnie, co gorsza, zmusił do wyjścia spod ulubionej kołdry w poszewce w urocze pieski i kotki. Gęsia skórka spowodowana wychłodzonym powietrzem, które dostało się na jej skórę dzięki za dużej o kilka rozmiarów koszuli nocnej, pozwalającej na swobodne ułożenie ciała do snu, nie było jednak tak rażącym problemem jak ostry nacisk w nodze. Próbowwała rozchodzić ból, co wciąż było niedorzeczne, bo przecież uda zdają się mieć mało wspólnego ze stopami i łydkami potrzebnymi do wykonania kroków. Było późno, mózg zdążył zrozumieć, że w organizmie zachodzi jakiś niewłaściwy proces i zaczynał przyzwyczajać oczy do otoczenia bez źródła światła. Nie można było wymagać od niego natychmiastowej, idealnej pracy i łączenia ze sobą w fakty jeszcze większej ilości bodźców.

Panika zaczęła ogarniać ją dopiero po chwili, kiedy zrozumiała, że jej mięśnie wcale się nadmiernie nie skurczyły, a nawet stanie w miejscu przestaje być w pełni możliwe. Ucisk w wewnętrznej części nogi zaczął zmieniać się w klucie, wchodzić na wyższy poziom, do przetrwania którego kobieta nie była jeszcze zdalna przez za małą ilość doświadczenia.

Po zapaleniu światła w pokoju i głośnym krzyku nie była nawet w stanie martwić się, czy nie pobudziła sąsiadów zza ściany, chociaż zazwyczaj to oni urządzali jakieś imprezy czy przynajmniej spotkania z głośną muzyką, podczas gdy ona udawała, że dźwięk disco polo o północy, gdy do pracy musiała wstawać przed szóstą, w żaden sposób jej nie przeszkadzał.

Opadła ciężko na krzesło przy biurko, obawiając się, że jej serce, bijąc tak szybko, może oznaczać coś tak złego, jak sytuacja, gdy narząd ten przestaje pracować. Patrząc na wybrzuszenie ruszające się pod jej skórą i regularnie wybijające się coraz wyżej, czując przy tym wewnętrzny i silny nacisk, pomyślała, że wszystko jest wyłącznie nadmiernie reali-

stycznym koszmarem. Pot spływający po jej czole był nieprzyjemnym potwierdzeniem rzeczywistości, wtórującym zresztą zagryzanej dłoni, co stłumić miało kolejne krzyki.

Napięta skóra na wewnętrznej stronie uda, która przypominała narzucony na niewielki stożek kawałek dziwnego materiału, w końcu rozeszła się na dwie strony. Rozeszła się nadmiernie, przypominając nieudany filmowy efekt specjalny, mający przez brutalność doprowadzić do maksymalnego obrzydzenia widza.

Krew wypłynęła z rany błyskawicznie, wypełniając najpierw starrannie granice rozstępów znajdujących się poniżej, by jednak szybko wydostać się poza ich linie, stając się nieokreślonym i ciągle poszerzającym się kształtem, powstałym z połączenia pomniejszych, czerwonych strużek.

Oprócz ciemnej cieczy z rozciętej skóry wydobył się kwiat. Niewielki, z płatkami w niebieskim odcieniu i łodyżką, która zniknęła w głębi jej nogi. Roślina zdawała się żywa, rozkładając delikatne płatki coraz mocniej, z każdym kolejnym piskliwym dźwiękiem, który wydostawał się spomiędzy palców dłoni, mocno zaciśniętych na ustach kobiety. Poza paroma ciemnymi plamkami na swojej powierzchni, wydawał się okazem typowym dla swojego środowiska, jakby wyrósł właśnie tam, gdzie powinien.

Kobietą wstrząsnęły dziwne spazmy, które źródła mieć mogły w zaczynającej się wówczas hysterii lub nagłym odruchu wymiotnym. Nie zdążyła ich jednak dobrze zdefiniować, bowiem do nieustającego bólu, który dotąd miał źródło w jednym miejscu, dołączyły kolejne próby wydostania się czegoś spod osłony skóry, w drugim udzie.

Proces przebiegał podobnie, choć tym razem z otwartej po chwili rany wyłoniły się dwa kwiaty z płatkami w całkiem innych kształtach, w białym i żółtym kolorze, na których plamki krwi były o wiele bardziej

widoczne. Te wyrosły nieco dalej, może jeszcze bardziej przystosowane do pozacielesnego świata. Ich łodygi nikły w ciemnej krwi, która gromadziła się nieustannie i coraz szybciej spływała po nogach kobiety, dosięgając już jasnego dywanu. Jednakże poza brudnymi, bezlistnymi łodygami, przez ciesz przebijały się dziwne strzępy, może resztki rozerwanej gwałtownie skóry, a może części uszkodzonego mięśnia.

Ból nie pozwolił jej wstać. Okazał się nowym i bezwzględny panem jej osoby, który narastającą siłą zrzucił kobietę z krzesła. Wyginała się dziwnie, na przemian łącząc łopatki i kuląc się maksymalnie, by w następnej chwili rozciągnąć na dywanie wszystkie kończyny do granic. Łzy wpływały do jej rozwartych w krzyku ust, mieszając się z okropnie słoną wydzieliną z nosa, kiedy rozcięta została jej skóra na obojczykach. Każdy dokumentalista, miłośnik gore albo naukowiec czułby pewnie ciarki ekscytacji, widząc wystające z ciała elementy szkieletu, porośnięte niespodziewanie dziwną, kolczastą rośliną. Kobieta jednak nie mogła zobaczyć swoich kości, wokół których zacisnęło się dziwne pnącze, przypominając wężyca duszącego ofiarę. Powoli zaczynała tracić siły do krzyku, a dywan, na którym przypominać mogła dziwnego pająka z poplątanymi odnóżami, coraz bardziej stawał się wartym jedynie wyrzucenia materiałem, który wchłonął zbyt dużo wilgoci w swoje włosie.

Pieczenie i szczypanie, jak również poczucie wewnętrznego ruchu pod skórą, stopniowo ogarniające kolejne części ciała, zmuszały cierpiącą do ciągłego poruszania się, przyczyniającego się do następnych uszkodzeń.

Wyrazistość otoczenia zaczęła tracić na sile najpewniej przez dużą utratę krwi, a krzyki zmieniały się w ostre hausty wciąganego zachłannie powietrza. Podczas gdy większość ludzi w pozostałych mieszkaniach w bloku spokojnie spała, czy analizowała dotychczasowe błędy

swojego życia przy kuchennym oknie, do czego bezsenność zdawała się świetną okolicznością, lekko otyła księżowa leżała na wilgotnym dywanie, otoczona krwistym konturem swojego ciała. Nie przypominała już człowieka. Raczej niedokończoną, realistyczną rzeźbę, którą artysta miał zamiar zszokować publiczność, może przesunąć granice dobrego smaku w sztuce. Rozerwana skóra, gdzieś tam zarzysy narządów, kawałki kości, a wszystko porośnięte uroczymi roślinami o różnym wyglądzie, wielkości, barwach i intensywnym zapachu. Groteskowy, piękny ogród.

Nim całkiem straciła świadomość, wszystko dookoła zdawało się falować, by następnie zacząć znikać za szarawą i nieprzejrzystą osłoną. Leżąca na brzuchu człowiekopodobna roślinna hybryda, której plecy przypominały rząd starannie posadzonych fiołków, straciła możliwość oddychania. Drogi oddechowe zablokowane zostały przez twarde i kolczaste gałęzie, które próbowały się wydostać podążając wzdłuż wnętrza gardła i nosa, tnąc sobą całą napotkaną po drodze materię organizmu. Nim zrobiło się całkowicie ciemno, a obrażenia były zbyt wielkie, aby czuć cokolwiek, kobieta ujrzała jeszcze niezbyt wyraźnie gałkę oczną, wypchniętą ze swojego miejsca. W oczodole, poza jakimiś dziwnymi żyłami, od których oderwano właściwy im narząd, pojawiły się niewielkie, różowe pąki, a na nich plamy krwi zdawały się naturalnym umaszczeniem. Oko potoczyło się kawałek, jak dziecięca piłka o nietypowym wzorze, by w końcu zatrzymać się u progu łóżka, jakby to nagle spojrzało na leżącą przed sobą właścicielkę, której dusza właśnie uciekła z ciała i uniosła się w przestrzeń z wonią kwiatów.

Chwilę cichej ciemności przerwał ostry krzyk. Kobieta gwałtownie rozwarła złączone nocną ropą powieki i jeszcze z nieunormowanym oddechem prawie dosłownie wyleciała z łóżka i niedużą odległość przedpokoju dzielącą jej pokój od łazienki pokonała biegiem. Upadła

na zimną posadzkę przed toaletą, a wymiociny wypełniły jej buzię jeszcze zanim podniosła klapę. Dziwne wydzieliny opuściły jej ciało, brudząc nieco końcówki niezwiązanych i poplątanych po nocy włosów.

Wstając powoli z podłogi, zaczęła normować oddech, choć nie powstrzymało to łez, które chciały spełnić swoje zadanie wyrażania ogromnych emocji, na które w niektórych sytuacjach nie ma słów określających.

Przysiadła na brzegu wanny i niepewnie spojrzała w lustro zawieszone na przeciwnej ścianie. Poza wielkimi sińcami pod oczami, bladą skórą i lekkim drżeniem, wyglądała jak zawsze. Za gruba, by dostrzec jej urok, urodę skrywającą się w cellulicie i opadającej w paru miejscach skórze. Żadnych kości, żadnych kwiatów w miejscach, o których ładniejszy wygląd się nawet modliła, choć może na co dzień robiła zbyt mało, żeby wspomóc spełnienie prośby. Nie było na niej żadnego piękną, rodzącego się z brutalności, ciało miała nijakie, ale nie okrutnie rozerwane i wykorzystane przez sennie złudzenia, których chwilowo nie miała ochoty interpretować.

Jeszcze kilka łez pojawiło się na jej policzkach, nim wyszła z łazienki. Wróciła do pokoju, mając daremną nadzieję, że może choć na chwilę zmruży oczy, bo czuła się jakoby w ogóle nie spała zeszłej nocy.

Już otulona kołdrą, zapatrzona bezwiednie w zasłony, za którymi chyba zaczął pojawiać się delikatny blask wschodzącego słońca, poczuła dławiący zapach kwiatów.

Zuzanna Golec

Tyk, tyk, tyk...

Kiedy upadł, otworzył się po cichutku jak introwertyk przed swoim jedynym przyjacielem. Nie chciał robić wokół siebie niepotrzebnego zamieszania. Czuł się dostojnie, z wolna zbliżając się do podłogi. Metal, z którego był zrobiony, iskrzył się przecież w promieniach słońca przebijających się zza firanek, podobnie do rzadkiego kryształu, znalezionego przypadkiem w schematycznej lokacji świata. Opatulał go łańcuszek, jakoby był linką zabezpieczającą skok z wysokości. Metaliczny pogłos brzmiał niby dziecięce cymbałki, grające na chwałę misia, co wrócił cały z zabawy w wojnę. Tak więc rozłożył się na dywanie i otulił krótkimi, puszystymi włoskami. Zegarek okrężnym ruchem wysunął się bowiem z kieszeni kobiety. Znudzila mu się przykrótka na właścicielce marynarka, w której był trzymany. Co więcej, przestała przecież mieć szacunek dla jego posady.

Zegarki są ważne. Najważniejsze spośród sług Czasu. Mówią codziennie wskazówkami, czy łaskawy pan daje człowiekowi złudne poczucie przedłużonego dnia, czy przeciwnie, swoim tempem pragnie rzucić go na kolana i jeszcze oskarżyć o brak odpowiedniej kondycji.

Jednak nie wszystkie zegarki są pyszne. Wiedzą, że zepsuć mogą się w każdej chwili. Pogubić w czasoprzestrzeni, pomylić kierunki obrotów trybików, albo zastygnąć w miejscu, jak zamarznięta woda, która wcześniej była wzburzona. A wtedy stają się niczym. Czas, któremu służyły, z przyjemnością pozbawia je świetności. Z obrzydzeniem patrzy na to, co chociaż świadczy o jego władzy, jest jednak słabsze od człowieka. A ludzie to przecież ślepe figurki, które dramatycznie próbują trzymać

się swojej pozycji na planszy, chociaż wiedzą, iż żadna rozgrywka nie trwa wiecznie. Zabawni są. Nieraz mają sposobność oszustwa, a i tak stoją bez ruchu i czekają na największą ilość oczek na kostce.

Ten zegarek, który leżał na dywanie, czuł się bogiem w obliczu ludzkości. Był dumny, bo jeszcze taki wspaniały, misternie zdobiony. Wyrziste ornamenty na jego metalowej pokrywce przypominały zaklęcie zapisane w starodawnym języku na ścianach jaskini, mogące swoją siłą cały świat zmienić na lepsze.

Kiedy nakierował wskazówki na pełną godzinę, ujęły go delikatnie dziecięce paluszki. To mu się podobało. Dziewczynka, która go podniosła była córeczką jego byłej, jak sam zdecydował, właścicielki. Jej oczy, odbijające się w szkiełku zabezpieczającym okrągłą tarczę w złotawym odcieniu, pełne były zachwytu. Tak wyglądać musi ktoś, kto walcząc o życie z pogodą i jej kaprysami, w końcu doszedł na wymarzony szczyt. Bo małej nie wolno było dotykać zegarka. Zbyt delikatny, ma wartość sentymentalną, mówiła mamusia. A teraz, gdy rodzicielka nie zauważyła zguby, misterne urządzonek było w pełni do jej dyspozycji.

Zegarek czuł się wspaniale, pieszczony palcami i bujany na boki, że aż zaczął się spieszyć o kilka sekund, a może nawet minut. Sam stracił to poczucie. Ale przecież był teraz z dzieckiem. Ono nie zna wartości czasu, mógł więc ukraść dziewczynce kilka chwil na swoją korzyść. Starał się tykać głośniejsze, żeby stworzyć z mijających momentów cichutki koncert. Wyglądać idealnie, jak najlepszy powiernik Czasowego zamysłu świata.

Zwabił ją w swoje sidła. Nie powiedziała mamie, kiedy ta spytała, czy nie widziała zguby. Pewnie zaprzeczała, chowając w kieszeni jeansów dłoń z zaciśniętym, złocistym skarbem.

Na noc ułożyła go obok poduszki. Tyk, tyk, tyk, tyk. Długi i głęboki sen przybył szybko. Projekcja podświadomości toczyła się na końcówce najmniejszej wskazówki – nieposkromionego sekundnika. Dziewczyn-

ka stała na jego krawędzi, obracając się ciągle między cyframi. Bała się, że spadnie, a jednak jej stópki zdawały się przyklejone do końca niezabójczego ostrza. Poniżej dojrzała mgiełkę, spomiędzy której wynurzały się raz na jakiś czas niejasne obrazy, jak spławik, który niby nieustannie widoczny, w końcu zlewa się z wodą. To były ulotne sceny, w których widziała siebie. Gdzieś była już starsza, gdzieś taka dojrzała, jakaś kobieca, radosna i zapłakana, krzycząca i ściskająca kogoś za rękę. Klęcząca przy ołtarzu i trumnie. Wszystko wyglądało jak puzzle z przeróżnych pudełek, wymieszane ze sobą przez nieuwagę. Nagle wskazówki zatrzymały się gwałtownie, a mała straciła równowagę. Mimowolnie rozkładając ręce na podobieństwo do Chrystusa na krzyżu, nie dostała szansy, żeby przekonać się, jak skończy się upadek w przepaść.

Otworzyła oczy, zdziwiona, że nie słyhać tykania. Zegarek obok głowy pokryty był kurzem, lekko pęknięty z przodu. Chwyliła popsuty sprzęt i zrozumiała, że to, co uważała za sen, wcale nim nie było. Niechętnie wstała z łóżka. Mieszkanie było zaniedbane, tapeta odklejała się od ścian, w kuchni coś pachniało pleśnią, kurzu ciągle przybywało nie wiadomo skąd. Weszła do łazienki, obmyła twarz zimną wodą ze zlewu, który ledwo trzymał się ściany i spojrzała w lustro.

Czas zostawił jej niewiele: kilka zmarszczek, smutne oczy, siwe włosy i pamiątkę po mamie, jaką był zegarek.

Istnienie jest krótkie, jak żywot motyla. Ważnym jest by dobrze kierować swoje delikatne skrzydła, póki mogą latać, pomyślał w zadumie Czas, patrząc na nią z czasoprzestrzeni. W chwilę potem dalej sprawiał, że ludzie nie są wieczni.

Tyk, tyk, tyk, cicho wykrzyczał popsuty zegarek schowany w dłoniach poczciwej staruszki.

Tyk... i zrobiło się cicho.